Tom I. Nr. 14.

11. Listopada 1859.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 zł. w. a., półrocznie 1 zł. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O niewinnym więźniu.

Powiastka.

Jeśli sumienie nic ci nie wyrzuca,
Znoś to cierpliwie czem cię świat zasmuca,
Bo po nad tobą czuwa Bóg na niebie,
Co twą niewinność okaże przez Siebie.

Tomasz Robiusz był to szewc nad szewce! Powiadają, że jak Kraków Krakowem, lepszego majstra nad niego nie było. Ale niedość, iże mu w tem rzemiośle nie lada kto wyrównał, był ci on także i we wszystkiem innem człek jak się patrzy. Bo to i bogobojny, i uczciwy, i rzetelny, nikogo na włos by nie ukrzywdził, a zawsze trzeźwy i przy pilnej pracy — słowem aż miło było posłuchać, coć tam ludzie o nim dobrego między sobą rozpowiadali. To też i wiedło mu się doskonale; rok w rok kilkanaścioro czeladzi pracowało w jego warsztacie, a zawsze było roboty po uszy — i był sobie on majster szewski, Tomasz Robiusz pan całą gębą.

Dużo to już od tego czasu upłynęło wody, kiedyć to się działo w Krakowie na Piasku — tak się nazywa jedno przedmieście krakowskie. A na tem przedmieściu od dawien dawna

stoi klasztor OO. Karmelitów, i kościół *Nawiedzenia Najświętszej Panny Karmelitańskiej*, której obraz cudowny przechowuje się w kaplicy tegoż kościoła. O tym obrazie w księgach klasztornych tak stoi zapisano: — Żył przed laty w onym klasztorze pewien braciszek, człek wielce pobożny. Ten że to był malarz z prefesyi, ułożył był sobie razu jednego w głowie, wymalować obraz Naświętszej Panny do kościoła. Zabrał się tedy do pracy; ale kiedy przyszło do malowania świętej twarzy, srodze się zafrasował. Bo i myśli sobie: gdzież mnie grzesznemu człowiekowi malować twarz Przeczystej Panienki!... Nie podołam ci tej pracy, oj nie podołam!... I myśli dzień jeden, i drugi dzień nad tem myśli, a medytuje, a wciąż się modli, aby go Matka Najświętsza do tej pracy łaskawie natchnąć raczyła. Dopieroż trzeciego dnia wstąpił duch w niego — i jużci się miał zabrać do malowania, aż tu na jeden raz patrzy — o wielki Boże!... na obrazie pojawiła się cudownie twarz Najświętszej Panny, i w prześlicznem malowaniu jakoby żywa pogląda ku niemu. Wtedy on pobożny braciszek upadł na kolana, wielbiąc cud pański, a potem zwołał całą bracię klasztorną, i opowiedział im co się stało. Od tego czasu kościół OO. Karmelitów na Piasku, gdzie umieszczony był ten obraz, przybrał nazwanie: *Nawiedzenia Najświętszej Panny* — i działy się odtąd różne a różne cuda.

Między innymi doznał tej łaski i on majster szewski, Tomasz Robiusz, a to przy takiej okazyi. Miał ci on serdeczne nabożeństwo do Najświętszej Panny Karmelitańskiej — więc nie było dnia, żeby kiedy opuścił mszę świętą w tym kościele, i nie pomodlił się przed cudownym obrazem.

Było to jakoś w później jesieni. Nasz Tomasz ranny ptaszek, toć w czas zebrał się, i według swego zwyczaju idzie na prymarję do Karmelitów. Na dworze noc prawie jeszcze była, na ulicy pusto i cicho, żywej duszy nie widno. Przyszedłszy pod kościół, że był jeszcze zamknięty, nasz Tomasz ukląkł sobie na schodkach pod kaplicą, i począł odmawiać ranne modlitwy. I było tak przez jakąś chwilę — aż tu naraz ni z tąd ni z owąd, w kościele powstaje srogi krzyk i gwałtowanie, i zaraz potem w oknie kaplicy ukazał się jakiś setny chłop. Nasz majster, klęczący tuż pod kaplicą, widzi go, ale jakoś na razie tak

się zadziwił, iż ani się z miejsca nie ruszył. Tymczasem on chłop dał z okna susa na ulicę, tak że jeno majstrowi zafurczało wedle ucha, i zanim się tenże spodział, jużci tamten chwycił za czapkę jego, leżącą na schodkach, i wrzucił ją przez otwarte okno do kościoła — a potem jak nie da drapaka, tak tyle wszystkiego co za nim zadudniło. Dopieroż teraz zrozumiał majster, o co rzecz idzie: że to był złodziej niecnota, którego przy kradzieży w kaplicy spłoszono. Nie namyślając się tedy długo, jako był bez czapki, tak z gołą głową puszcza się w pogoń za złodziejem, krzycząc na całe gardło: gwałtu... złodziej... łapajcie!...

Ale właśnie, łapać tam było rychło w czas, kiedy już złodziej Bóg wie za którą był górą. Ani śladu po nim — sam jeno majsterko nieboracze pędzi bez upamiętania dalej a dalej drogą, kędy złodziej umykał, a wiatr mu hula po gołej głowie, a on krzyczy wciąż: łapaj! łapaj!... Tuż za nim wali znowu kościelny z kilkorgiem ludźmi, których sobie przybrał do pomocy.

Kościelny małe, pękate chłopisko, wyglądał iście jak ta kula, co się katula po równej drodze, kiedy ją kto z mocą wyrzuci. Na twarzy czerwony był gdyby najpiękniejsza piwonia, głowa łysa jak pałka, bez nijakiego pokrycia zakurzyła mu się straszliwie od potu, gębę szeroko otworzył jak wrota, bo mu już powietrza zabrakło, więc chlipał go co się weń wlazło, a odsapywał gorzej kowalskiego miecha, zaś rękami nieprzymierzając jak ten pływacz robił po powietrzu. A kiedy tamten na przodzie wołał: łapaj!... wtedy kościelny groźnie głową potrząsał, zakaszlał się i zakrztusił jakby go kto za gardziel dusił, i jeszcze pocieszniej wymachiwał rękoma w powietrzu.

Po dobrej nareszcie chwili opamiętał się Tomasz, a widząc, że to jeno próżna jego fatyga, bo o złodzieju ani słychu dychu, zatrzymał się setnie zmachany w pośrodku drogi. W tejże samej chwili słyszy pęd po za sobą, i jużci go ktoś uchwycił gwałtem za kołnierz.

Byłto kościelny z swymi pomocnikami.

— Ha — sapnął mu kościelny z wielką mocą nad uchem — mam cię tedy panie bratku! i potrząsł nim z całych sił, trzymając za kołnierz; a inni do koła go otoczyli. — Masz

tedy panie łapaj... a złodziej! a taki, a owaki, a widzisz jużci mu święty kościół zawadza, tedy panie bezwstydnik jakiś świętokradzca! poczekaj, nauczę ja cię tedy panie jak to po kościele gwizdać — bierzcie go!...

I dalejże wszyscy po kolei do naszego Tomasza, jak ci go nie wezmą w obroty, tak naszarpali, naszturkali, nałajali się go na czem świat stoi, a Bóg wie za co. Aż go też nareszcie jako ostatniego złoczyńcę powiedli ze sobą ku miastu.

I patrzcie no, moi ludzie, jak to ni z tąd ni z owąd, popadł nasz biedny majster w nieszczęście, i co jeszcze gorsza, bo w tak brzydkie posądzenie o świętokradztwo. Napróżno się zaklinał na Boga i na zbawienie duszy swojej, że jest niewinny! — kościelny na to wszystko ukazał mu jako dowód jego własną czapkę, co ją był znalazł w kościele: — Widzisz tedy panie żeś złodziej — powiada — i basta, ani mrumru!...

Naprzód zaprowadzili go do klasztoru, i tam wytoczono tę całą sprawę przed przełożonym. A że każdy człowiek, choćby nie wiedzieć jakie nauki posiadał, jest zawsze tylko człowiekiem, to jest słabą istotą, i nie może wiedzieć przez Ducha świętego, co się tam w wnętrzu drugiemu święci, to też i przełożony klasztoru, chociaż znał majstra Tomasza, i miał go dotąd za bardzo uczciwego człeka, sądząc ale teraz z wszystkich pozorów, rad nie rad, musiał go uznać za winnego, i do sądu miejskiego odesłać kazał.

Przed sądem jeszcze się raz próbował uniewinnić nasz Tomasz — ale wszystko napróżno; nieszczęsna czapka świadczyła przeciwko niemu, a choć się nieborak tłumaczył, że to mu jakiś złodziej takiego figla spłatał, ciskając jego czapkę do kaplicy — sędziowie ani sobie mówić o tem nie dali. Także i tem mu ćwiekano w oczy, że uciekał przed goniącymi. On na to znowu że nie prawda, bo właśnie tak było, że on gonił złodzieja, i sam wołał o pomoc. Ale i temu nie chcieli dać wiary sędziowie. Koniec końców stanął wyrok przeciwko niemu, i osadzili nieboraka w ciężkiem więzieniu.

Oj! bo i prawda że to ciężkie było więzienie, a tem bardziej że go w niewinności swojej znosić musiał nasz biedny Tomasz. Mój Boże! on co się tak starał sumiennie zachować w całem

swojem życiu, aby zasłużyć sobie na dobre imię u ludzi, i przekazać go swoim dzieciom w spuściznie — o jakże teraz srodze musiał cierpieć nad tem, że go takie niedobre posądzenie spotkało od ludzi, a zatem i sława jego poszła w poniewierkę, i wielka hańba jako ta plama padła na jego czyste imię. Toć drugi na jego miejscu może byłby się zapomniał z rozpaczy i wyrzekał na Boga. Ale Tomasz Robiusz nie uczynił tego, owszem modlił się tem goręcej, i wdzięcznie a pokornie znosił to całe swoje nieszczęście jako próbę zesłaną na niego od Boga na przekonanie, ażali też mocną jest wiara i miłość jego. Bo i tak bywa często, że pan Bóg sprawiedliwych swoich doświadcza na ziemi. Wielką też ufność pokładał Tomasz w cudownej opiece Najświętszej Panny Karmelitańskiej: że go w tak srogim smutku pocieszy i wybawi z więzienia, i przed światem znów mu jego dobre imię przywróci.

Jak długo cierpiał w tem więzieniu — nie wiadomo; dość że po niejakim czasie na raz jakby mu kto kamień młyński zdjął z serca, tak mu się stało jakoś lekko i wesoło, aż się nieboraczysko rozpłakał z radości. Tejże nocy długo się jeszcze modlił, i potem jeszcze przez sen rozmawiał z Panem Bogiem. A że nie był sam jeden w więzieniu, jeno z jakimś drugim siedział pospołu, to ten wszystko to słyszał, i nazajutrz rozpowiadał przed sądem, jak się cała rzecz miała. Owóż w tym śnie ukazała się biednemu Tomaszowi Najświętsza Panna w takiem samem wyobrażeniu, jak tam jest namalowana w kościele u XX. Karmelitów na Piasku; i rzekła do niego: wyczekałeś nareszcie Tomaszu twoją wolność — jutro stanie się koniec twym cierpieniom, niewinność twoja pokaże się przed światem, i będą cię znowu ludzie szanować i czcić twoje imię poczciwe. Zaś to, coś ucierpiał niewinnie, poświęć za grzechy tych, którzy zaślepieni nie pełnią przykazań Syna mego.

Po tych słowach Najświętsza Panienka znikła — a Tomasz się obudził. Zaraz też równemi nogami zeskoczył z łóżka, i padł krzyżem na ziemię, dziękując Panu Bogu i Matce Najświętszej za objawienie. I już aż do samego rana przeczuwał z mocną wiarą iże się tak stanie, jako mu Najświętsza Panna Karmelitańska we śnie objawić raczyła. No i jakże myślicie?... byłże to

sen tylko, próżna mara? alboli szczere objawienie, cud Boski? a jużciż cud Boski, a nie co innego!

Boć zaledwo nazajutrz rano poschodzili się na sądy panowie sędziowie, jużci drzwi się otwierają do więzienia, w którem niewinnie osądzony był Tomasz, i wyprowadzają go do izby sądowej. Tam jeden ze sędziów przeczytał mu wyrok niewinności. Biedny Tomasz mało co nie zemdlał z radości. A w tej chwili wprowadzają do izby sądowej jakiegoś człeka. Ten skoro zobaczył naszego majstra, od razu rzuca mu się do nóg, wołając: — O poczciwa i niewinna duszo! przebacz mi, bo to ja jestem, com cię naraził na ludzkie posądzenie i na niewinną karę. Wielki ja grzesznik, ale Pan Bóg się nademną ulitował i Matka Najświętsza. Ona to objawiła mi się dziś we śnie i nakazała, abym grzeszną moją duszę ratował, wyznając przed sądem swoją wielką winę, a przeto bym ciebie niewinnego wybawił od niezasłużonej kary. Uczyniłem tak, i pójdę z lekkiem sercem do najcięższego więzienia, byleś ty mi przebaczyć raczył.

No jużcić nie potrzeba wam gadać, iż to był ten sam złodziej, którego spłoszono przy kradzieży w kaplicy Najświętszej Panny Karmelitańskiej, i coć go tak zawzięcie ścigał nasz Tomasz ale napróżno. I myślał by kto, że się na niego majster pochmurzył, i że mu robił jakie wymówki?... gdzie tam! ani mu słowa marnego nie rzekł, ani nawet nie pokazał na twarzy najmniejszej ku niemu urazy — owszem jako prawy Chrześcijanin przebaczył zaraz i wielce się z tego nawrócenia grzesznika ucieszył.

Wróciwszy na wolność, przedewszystkiem udał się do kościoła Najświętszej Panny Karmelitańskiej, i tam przed Jej cudownym obrazem szczerze się pomodlił, dziękując za doznaną łaskę. Żył potem jak powiadają jeszcze długo, a miał u ludzi poważanie i szacunek aż miło, i był sobie jak pierwej Tomasz Robiusz szewc nad szewce, pan całą gębą.

Na tem się kończy historja o niewinnym więźniu.

J. K. T.

Bartosz ukarany.

Poczekajcie chłopaki, zamiast w karczmie siedzieć,
Posłuchajcie mię trochę, dobrze wam co wiedzieć;
Powiem dziś o Bartosie, co tu żył przed laty,
Na grosz był nieużyty, chociaż człek bogaty.
Bartosz miał to domostwo co to pustką stoi,
Grunt co leży odłogiem wedle roli mojej,
Miał koniki jak wałki, podostatkiem chleba,
Trzodę, woły i pszczoły, ba!... co ino trzeba!
Miał żonę, miał i syna chłopaka tęgiego,
Jankornego, sprytnego, lecz trochę hardego,
Bo już żyłka ojcowska dostała się jemu,
Że z drogi nie ustąpił choćby najstarszemu.
Ale zresztą był chłopak daj nam takich Boże,
Umiał się z książki modlić, popracować może,
Na weselu, kiej drużba a sunie raźnego,
Baby gębę otworzą i patrzą na niego.
Cudeńka dokazywał! a gdy zacznie sztuki,
Myślałbyś że za morze chodził po nauki.
Chłopak to do wszystkiego, a jak orze, włóczy,
Chociaż to od młodego stary się nauczy.
Cieszył się Bartosz synem i zhardział z pokusy,
A do ludzi mamrotał kieby niemiec kusy.
Gdy przyszedł do kościoła, już świece gasili,
I nie zmówił Zdrowaśki, gdy wieczór dzwonili;
Dziadkowi kościelnemu nie otworzył trzosa,
A jeżeli syn dawał, to patrzył z ukosa.
Raz, było to z wieczora, siedział on na chłodzie,
Dziad przyszedł, a ten woła: poszedł ty narodzie!
(Bo i klął aż strach słuchać), — poszedł dziadowina
I zapłakał, bo głodny, a pusta torbina.
Wieczór nadszedł, i chmury stanęły na niebie,
Żeś człowieku nie widział płota wedle siebie.
Jak ci potem nie zagrzmi, jak ci piorun trzaśnie,
Patrzę, i dom Bartosza już w płomieniach właśnie.
Wiecie, że u nas, jeśli piorun co zapali,
Nikt się nie ruszy bronić, choćby we stu stali —
Naraz wszystko spłonęło, obora, dobytek,
Stodoła, i z wszystkiego został mu się kwitek!
Mało w tem było straty co ogień zagrabił,
Kominem wleciał piorun i syna mu zabił.

A kobieta nieboga z żałości zmarniała,
Zaniemogła i więcej światu nie ujrzała.
Zbiedniał Bartosz od razu, wziął torby na siebie,
I włóczy się po świecie o proszonym chlebie.
Nikt gruntu nie obsiewa, każdy z nas się boi
Kupić tego, co z krzywdą nieszczęśliwych stoi:
Bo jak nietrudno zgadnąć, było u Bartosza
(Po prawdzie powiedziawszy) dość cudzego grosza.
Tak to moi kochani — kto komu zazdrości,
Biednego nie posili, ten w Bożej miłości
Nie bardzo dobrze stoi, choć czasem w dostatku,
Prędko może iść z dymem, torbę wziąść w dodatku.

(Cz. N.)

Jak to sobie nasi ludzie poczynają w chorobie.

(Wypisano z nowego Kalendarza pana Wielogłowskiego w Krakowie.)

Wojtek i Feliks (przed karczmą).

Feliks. Pokrzepnieliście przecież?

Wojtek. Ej gdzie tam! zawsze słabuję i zimno mnie tłucze, a nijakiej sobie rady dać nie mogę.

Feliks. Toby wam trzeba iść do doktora, coby wam poradził.

Wojtek. A jużciby trzeba! ale ktoby tam chodził! najpierwej że niema czasu, a potem jakby zaś napisał jakie drogie lekarstwo? albo kazał iść do szpitalu?!

Feliks. Jużci kiedy trzeba to niema rady. Gorzej jakbyście zamarli.

Wojtek. Toby się tam już raz z człowiekiem skończyło.

Feliks. A przecież wam szkoda odumrzeć takiego gospodarstwa; napracowaliście się dosyć w roli, abyście mieli odumierać a jeszczeście niekoniecznie starzy.

Wojtek. Nie starym tam, alem wyterany, bo wziąwszy pustkę po nieboszczyku ojcu, i tak od młodych lat trzeba było w niej harować. Mnie się z tego teraz stało, żem w lesie wziął kija na udźwig i przemogłem się, więc mnie zaraz zimno stłukło.

Feliks. Tocto to, żeście się przemogli! z tego najprędzej bywa oberwanie. — Gdybyście się byli od razu kazali babie tłustem wysmarować, toby wam było pomogło, ale teraz to wam się już zakalec we wnątrzu zrobił.

Wojtek. To też tak było nieboszczykowi szwagrowi co umarł już pięć lat będzie na wiosnę. Ciekawe było chłopisko do roboty, a kamienie na gościniec wozili. — Przywieźli setną furę i zwalali kamienie, a on jak się chwyci i dźwignie do góry gnojnicę, tak pękło w nim coś, że sechł, sechł, aż na nim tylko skóra na kościach została i umarł.

Feliks. A choćbyście się wy zaradzili leśniczego?

Wojtek. On nie zna; już zna lepiej garncarz.

Feliks. Prawda iż garncarz uznany człowiek, a często doradzi.

Wojtek. To tam może i pójdę... zostańcież z Bogiem.

Feliks. Idźcież Wojciechu z Panem Jezusem.

Wojtek u garncarza.

Wojtek. Nie pojechaliście to z garnkami do miasta?

Garncarz. A nie pojechałem, ale będę ładował na wtorek; a czyście mieli jaką potrzebę do miasta?

Wojtek. Miałbym tam był może, ale sam nie wiem coby powiedzieć, bo człek nie domaga, i takim jakoś kiepski.

Garncarz. A z czegóż tak?

Wojtek. Bom się w lesie udźwigał, i odtąd ani mam smaku do jadła ani do picia. — Serwatki tobym się tam jeszcze napił albo maślanki, ale jeść to nie mogę.

Garncarz. Toby wam trzeba iść na krew, ale wam lada kto nie puści, bo jest zakaz; chybaby żyd wam po nieświadomu upuścił.

Wojtek. Dobraby była i krew, ale cóż kiedy na to trzeba iść do Krakowa, a nie puści jak za złoty.

Garncarz. To też że drogo i jeszcze cyrulik domaga się kartki od doktora; a żyd wam upuści za każde pieniądze ile mu dacie. — Upuści wam za sześć groszy i za dwanaście, jakbyście chcieli drugą miseczkę dociągnąć. — Zwyczajnie za wasze pieniądze to wam utoczy ile jeno chcecie!

Wojtek. A toć lepiej u żyda, bo za ile człowiek chce, za tyle ma. — Trzebać będzie iść jutro do żyda, a może też niewiara weźmie i skórki z królików co je mam na strychu, to się i bez zapłaty obejdzie!

Garncarz. Co nie ma wziąść!... U żyda wszystko pieniądz; żyd jeszcze woli, bo zarobi i na krwi i na skórkach.

Wojtek. Ha, dziękuję wam za poradę, mój garncarzu;... zawsze człek nie uchybi, jak się mądrego poradzi.

Garncarz. Nie macie za co dziękować, mój Wojciechu, przecież grzech drugiemu nie poradzić, kiedy Bóg dał komu ten sposób. —

Wojtek u żyda.

Wojtek. Słuchajcieno Mośku, czybyście mi krwi nie upuścili?

Mosiek. Czemu nie! a macie od doktora kartkę?

Wojtek. Nie mam żadnej kartki, bo mi garncarz naraił.

Mosiek. Jak wy chcecie żebym ja wam krew puszczał, kiedy straszny zakaz! jabym poszedł do aresztu na ratusz.

Wojtek. Albobym ja to komu powiedział?! puścilibyście mi i kwita!

Mosiek. A co mi za to dacie?

Wojtek. Dałbym wam skórkę z królika, a jakbyście mi więcej upuścili, tobym wam i dwie podarował.

Mosiek. Głupiście wy mój gospodarzu, abym ja wam za takie skórki co są latowe i z młodych królików krew bez kartki puścił. — Co one obie warte?.... dwanaście groszy! to i półkwaterka wam krwi nie puszczę! jak pójdziecie do doktora, to musicie mu dać cztery złote za samą kartkę!... a wasza droga! a to co stracicie!... to mało was będzie kosztować sześć złotych!.... Rozumiecie? a teraz mnie niechby złoty za miseczkę krwi, to zmiarkujcie na wiele wam to wypadnie!...

Wojtek. No, mój Mośku, to wam już przyczynię kilka jajek!

Mosiek. Co to jajka! to kura nosi a nie wy, co one was kosztują?! — Jak mi dacie trzy złote to wam bez kartki puszczę.

Wojtek. Już wam dam złoty i skórki.

Mosiek. A jajka?...

Wojtek. Niechże tam! to wam dam i jajka.

Mosiek. To siadajcież, to wam upuszczę na miseczkę a trochę wam się ulży; ale jakbym wyciągnął z was dwie miseczki, tobyście dopiero byli zdrowi! ale wam tego zdrowia nie obiecuję, tylko jak dodacie jeszcze złoty!

Wojtek. Ej, mój Mośku, nie obciągajcież mnie też!

Mosiek. Co was mam obciągać, kiedybyście drugie tyle doktorowi zapłacili, a niby wam nie pomógł. No... już eście?!... Dobrze! Ay wej! jaka krew! gdyby smoła! patrzajcie, aż się kurzy, a taka na niej piana, żebyście na to samo byli umarli. — To macie dopiero szczęście żeście do mnie przyszli! — Ny... teraz będzie dobrze!...

Fizyk powiatowy we dworze.

Pani Dziedziczka. Więc pan był łaskaw być u tego Wojciecha, który o ile się zdaje, chory na tyfusa.

Doktor. Właśnie od niego wracam, chociaż nie obiecuję mu życia. On chorował na febrę żołądkową, ale najadłszy się w dzień paroksyzmu, zabrał się z jadącemi furami do miasteczka i kazał sobie żydowi puścić dwa talerze krwi. — Oczywiście rozwinęła się choroba, z której zapewne nie wyjdzie. Jednak przepisałem mu lekarstwo stosowne, i należałoby dopilnować, aby je regularnie zażywał.

Pani D... Tu jest właśnie cała trudność leczenia na wsi, iż nietylko sam chory ma niezwyciężony wstręt do lekarstwa, ale rodzina i sąsiedzi, zamiast pilnować wykonania rozkazów lekarza, odradzają i swoje środki stręczą. Mogę panu zaręczyć, iż ani po lekarstwo nie poślą, ani też gdybym sama po niego posłała, nie dadzą choremu. Często sama muszę chorym zadawać lakarstwa, ale trudno wystarczyć; chorych jest dużo, a wieś rozległa. — Tyfusa zwykle leczę roślinnemi kwasami i zimną wodą.

Doktor. Bardzo pani dobrodziejka dobrze robi, jest to najnowszy a razem najtrafniejszy sposób leczenia.

Pani D... Czy u Wojciecha wynagrodzili panu doktorowi fatygę?

Doktor. Wcale nie, ale oto mniejsza, bo zwykle rad moich udzielam ubogim bezpłatnie.

Pani D... To bardzo szlachetnie, ale skoro ja pana prosiłam o odwiedzenie chorego, przeto będę panu dłużną wynagrodzenia.

Doktor. Dla czegoż pani ma płacić za włościanina, który przestawszy być państwa poddanym, nie zostaje już pod opieką dziedzica, a nawet względnie bogatszym jest dzisiaj i szczęśliwszym od dawnych swoich panów!...

Pani D... Bo przywilej mógł być zniesiony, ale obowiązek sumienia nam został. Odjęto nam władzę, ale Bóg nam nie odjął obowiązków miłości Chrześcijańskiej.

Doktor. To bardzo piękne uczucie, i dla tego pozwoli pani, abym towarzysząc się z panią dobrodziejką w miłości bliźniego, rady mojej bezpłatnie choremu udzielił.

Wojtek w karczmie w miesiąc potem.

Wojtek. Nic mi nie pomogło, jeno co mi organiścina przyniosła, i ledwiem wypił zaraz mi się ulżyło.

Franek. A cóż ona takiego wam dała, że wam tak pomogło?

Wojtek. Ona powiada, że to psie sadło z wódką.

Franek. A gadali we dworze, iż was ten doktor z powiatu poratował!

Wojtek. Ale coby zaś!... on mi dał takie lekarstwo, co nijakiego nie miało smaku, jeno jak woda i nic nie było tęgie.

Franek. Znowu słyszałem, że się jejmość we dworze przechwala, że ona was dźwignęła.

Wojtek. A jakże!... ona! już też to głupie takie gadanie! posłała mi tam coś kwaśnego do picia i gada że mnie wskrzesiła, a bez organiściny tobym był dawno kopyta wyciągnął.

I otóż macie tu szczerą prawdę przed oczyma — jako nierozumnie zwykliście sobie poczynać w chorobach waszych. A źle, bardzo źle, moi ludzie, — Bóg by się ulitował nad wami, ta żebyście już raz lepszego nabrali rozumu.

Co nieco o koniach.

Już raz czytaliście w Dzwonku powieść o rycerzu Przybysławie i o jego wiernym koniu: jakto zagnany był przez złodzieji za góry aż do Węgier, a przecie i tam nie zapomniał o swoim dawnym panu, i jak po niejakim czasie zabrawszy ze sobą całą stadninę obcych koni, które się z nim na jednej łące pasały, powrócił wraz z niemi do domu. Dodamy jeszcze, że ten Przybysław na podziękowanie Panu Bogu za dobrodziejstwo, jakie mu wyświadczył jego wierny koń, wystawił później piękny kościół z palonej cegły pod jedną górą, którą właśnie na tę pamiątkę nazwali ludzie „Koniuszka.“

Daleko później żył w Polsce jeden sławny wojownik, którego imię każdy Polak winien w wiernej zachować pamięci. Nazywał on się Stefan Czarniecki, a tem się wsławił: że kiedy nasz polski kraj najechali Szwedy, i jużci tu sobie jak w swoim własnym gospodarowali domu, wtedy Stefan Czarniecki, wezwawszy Pana Boga i Matkę Częstochowską w pomoc, zebrał na prędce garstkę Polaków, i na czele tych mężnych jak się rzucił na Szwedów, jak zaczął ich prażyć uczciwie, tak nareszcie dokazał tego, że Szwedziska zmykali z Polski aż się za nimi kurzyło. A miał ci ten Stefan Czarniecki i konia, który mu podczas owej sławnej wojaczki od początku aż do końca wiernie służył. I kiedy po życiu tak chwalebnem przyszła nareszcie śmierć na naszego hetmana, i we wsi Sokołówce pod Dubnem, zasłabłszy nagle, złożony był w jednej chacie — to koń jego podczas tej słabości nic ani jadł, ani pił, jeno ziemię kopał, boleśnie pokwikiwał, a w czasie konania pańskiego wywrócił się i już było po nim. Takci biedny konisko przywiązany był szczerze do pana, że ani na chwilę nie mógł żyć bez niego.

Sławny był też koń Tadeusza Kościuszki. A wszakże znane wam to imię, to imię drogie dla naszego polskiego kraju. A ktoby go nie znał, niechże się w piersi uderzy, że nie wie o tem, o czem każdy Polak wiedzieć powinien. Tam w Krakowie ku zachodowi nieopodal Wisły, wznosi się wysoka mogiła. I komuż to, komu usypali ludzie taką wysoką mogiłę? Był że

to król albo jaki mocarz świata?... oj nie był ci on ani królem, ani mocarzem świata, jeno polskim wojownikiem, sławnym jenerałem — ale że się był wielce krajowi zasłużył, pożyskał sobie za to serdeczną miłość w narodzie, tak, iż mu po śmierci na wieczną pamiątkę sławy jego usypano taką mogiłę w Krakowie.

Owóż ten Tadeusz Kościuszko, żyjąc na wygnaniu w Szwajcaryi, co to jest taki kraj bardzo górzysty, leżący pomiędzy Włochami, Francyą a Niemcami — trzymał sobie na swoje stare lata konie do przejażdżki. I stało się razu jednego, że nie mogąc sam z domu wyjechać, posłał na tym koniu służącego za sprawunkami do miasta. W parę godzin wraca służący i powiada: — Wielmożny panie jenerale! jeśli mię jeszcze kiedy wyślesz na swoim koniu, to niech mi pan da i worek z pieniędzmi na drogę. — Kościuszko na to jeno się dobrotliwie uśmiechnął, i znać że się już wszystkiego dorozumiał. A służący tak dalej powiadał: — Ależ bo to i koń, z kąd jemu taki rozum, wielmożny panie jenerale! Gdzie tylko jaki ubogi stał przy drodze, jużci i on jakby na przekór przystawał przed nim, i póty się z miejsca nie ruszył, pókim coś biedakowi nie wtrącił do łapy. A tu jak na nieszczęście gdzieś tych ubogich jakby nasiał po drodze. Zachodzę w głowę nie na żarty: co tu robić! koń przy każdym ubogim staje, i ani rusz, w kieszeni już nie mam ani złamanego szeląga, więc trza było się wziąść na sposób. Udaję tedy, że niby z worka dobywam pieniędzy, i że je niby daję ubogiemu, i dopiero wtedy koń ruszał z miejsca. Z tej racyi, panie jenerale, zmitrężyłem wiele czasu, i dla tego tak późno z miasta przybywam. — Trzebać wam teraz wytłómaczyć, z kąd ten koń naszego jenerała nabył takiej litości dla ubogich. Kościuszko chociaż był sławny wojownik, i kiedy trzeba było bić nieprzyjaciół, wtedy bił należycie — tak znowu jako człowiek jedyna to była dusza, a zwłaszcza dla ubogich wielce łaskawy. Owoż przejeżdżając się często na swoim koniu, gdzie tylko zobaczył jakiego biedaka, zaraz stawał, dobywał pieniędzy, i darzył ubogiego. A że się to prawie co dnia działo, i tak przez długi czas, wię niedziwota że koń zmyślna sztuka i tak się w końcu do tego nałożył, iż bywało nieraz, kiedy się jego pan zamyślił i nie uważał

ubogiego, to on mu już sam przypominał, zatrzymując się w miejscu — za co go też jeszcze mocniej polubił nasz Kościuszko.

Jeden znów szlachcic z Lubelskiego miał klacz, którą z różnemi rzeczami i z listem posyłał o trzy mile do miasta Lublina, a takie to było zmyślne i wierne zwierzę, że przez drogę nikomu się nie dała schwytać, i wracała bardzo spiesznie do domu.

Ale na co to szukać daleko — ot u nas tu w Galicyi pod Jarosławiem nie bardzo dawno temu był koń, który jak jaki pastuch innych koni w stadzie pilnował, zaganiał je kiedy się nie trzymały kupy, i pędził gdzie należało, a skoro się wilki pokazały, budził parobków co tam byli na straży, i do obrony wzywał.

I powiedzcież sami, czy to nie grzech zdziwiać się nad takiem stworzeniem, co takie zmyślne, a dobre, a wdzięczne względem swego pana, żeby go nieraz i człowiekowi można postawić za przykład?...

RÓŻNOŚCI.

Podróżny. Wiele mil od nas na zachód, aż nad granicą francuzką leży ludny kraj katolicki, a nazywa się Westfalja. Tamtejsi mieszkańcy słyną daleko z pobożności; — są przytem uprzejmi, pracowici i zaradni; — a gdy w domu zarobku nie mają, to szukają chleba o kilkadziesiąt a nawet czasem i o kilka set mil. Czasem i do nas zawitają z nożami, widelcami, ręcznikami, i. t. p.

Taki podróżujący Westfalczyk przybył niedawno do Wrocławia na Sląsku, i stanął sobie w oberzy, gdzie też i wiele innych gości było. — Gdy im w południe przyniesiono objad, pobożny Westfalczyk przeżegnał się i odmówił modlitwę, a potem dopiero zabrał się do jedzenia. A tu wszyscy obecni w śmiech! Westfalczyk na to wcale nie zważa, — zajada sobie smacznie, — a gdy się objad skończył, wstaje, znów się żegna, i odmawia modlitwę. — Jakby na komendę wszyscy obecni parsknęli od śmiechu, a jeden z nich zbliża się do naszego podróżnego, i pyta się, zkądby był.

Z Westfalii, odpowiedział krótko.

Czy też to wszyscy u was podobne dziwactwa robią przy jedzeniu?

Nie wszyscy. —

A któż tak nie robi? spytało się kilku razem.

Bezrozumne zwierzęta tak nie robią, odpowiedział znów krótko a zwięzłowato.

Wszyscy obecni spuścili jak to mówią nos na kwintę, i jak zmyci z wstydu zamilkli. Tymczasem Westfalczyk wziął kapelusz, i w dalszą puścił się drogę. —

Grzeszne spanie. Kiedy pora do spania — spijże sobie z Bogiem; kiedy stajesz do pracy — pracujże rzetelnie; a gdy idziesz do kościoła na modlenie — módlże się szczerze. Bo jeśliś gdzie na zarobku a spisz, tem samem stajesz się nierzetelnym, a nierzetelność, człeku, to grzech. — Jeśli znowu idziesz do kościoła na spanie, pokazujesz przez to nieuszanowanie względem Boga, co jest wielkim grzechem. Boć jeno pouważ sobie jeden z drugim: jakby to wyglądało, gdybyś stanął z prośbą albo z podziękowaniem przed jakim wielkim panem, i zamiast tej prośby lub podziękowania, żebyś mu tam zasnął w żywe oczy?... ta cóżby on sobie wtedy pomyślał? a no nic innego, jeno by widział, iżeś człek nieszczery i nicpotem, kiedy to niby po co innego przychodzisz, a co innego tam robisz. I jużby się on pan srodze na ciebie pogniewał. A tak właśnie czyni każdy śpiący w kościele, urażając tem pana nad wszystkich panów, Boga przedwiecznego. Czy zaś nie taka prawda, jak mówię — powiedzcie sami. Oj, prawda to prawda! widziałem ja, widzieli i drudzy nieraz, i tem się strasznie gorszyli, żeć nasi ludzie po domach Bożych dopuszczają się tak *grzesznego spania.* Dawniej jeszcze po różnych krajach był taki zwyczaj, że płacono umyślnego chłopca, coby chodził po kościele, i onych niedobrych śpiuchów budził a napominał. Dzisiaj że już nie ma tego zwyczaju, niechby się przynajmniej każdy sam napominał, i nie spał wtedy kiedy pora do modlenia. A wszakże każdy z nas, o mój Boże, ma o co się modlić i za co dziękować naszemu Ojcu w Niebiesiech!... niechby jeno w szczerej a nieobłudnej myśli szedł w odwiedziny do Bożego domu — a odejdzie go z pewnością to *grzeszne spanie.*

Dawne przysłowia i przypowieści.

1. Kto na drugiego obówie czeka, musi długo boso chodzić.
2. Zdrowie i czyste sumienie, waż sobie za dobre mienie.
3. Bardziej boli od języka, niż od miecza.
4. Lepiej jest swoje stracić, niż się czyją krzywdą zbogacić.
5. Gdy co źle zrobisz, myśl o polepszeniu, a raczej na siebie się gniewaj, niż na tego co przygania.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpodzialny wydawca: **E. Winiarz.**